

STANISŁAW IGNACY  
WITKIEWICZ

NIKOTYNA  
ALKOHOL  
KOKAINA  
PEYOTL  
MORFINA  
ETER  
+  
APPENDIX  
+  
NIEMYTE  
DUSZE

OPRACOWAŁA  
ANNA MICIŃSKA

POSŁOWIE  
JANUSZ DEGLER

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

## NIKOTYNA

Lew Tołstoj twierdził podobno, że człowiek, który nigdy w życiu swym nie zapalił papierosa, niezdolnym jest do prawdziwej zbrodni w całym znaczeniu tego słowa. Jest w tym zdaniu pewna przesada, bo wiadomo, że np. w Europie choćby na długo przed wprowadzeniem tytoniu ludzie mordowali się niezgorzej. Może dopomagał im w tym alkohol – czort wie – nie moim zadaniem jest pisać historię narkotyków całego świata. Zresztą – kiedyś nie było też alkoholu. Ale jak tylko daleko sięgnie się w dzieje ludzkie, zawsze na jakieś „omamy narkotyczne” natrafić można. Widocznie świadomość doprowadzona do pewnego stopnia wyostrzenia nie mogła wprost znieść samej siebie wśród metafizycznej potworności Istnienia i czymś musiała łagodzić swą własną perspikację. Używanie narkotyków połączone było zawsze z obrzędami religijnymi, było częścią integralną różnych kultów. Religia i sztuka też były przecież kiedyś zasłonami dla zbyt okropnie jaskrawo świecącej z czarnej otchłani Bytu – Wiecznej Tajemnicy. Dopiero począwszy od Grecji, rozpoczyna się pojęciowa walka z tajemnicą tą – walka, która musi skończyć się oczywiście porażką. My żyjemy w epoce wielkiego przełomu. Wszystkie elementy przeszłości i zarysowującej się przyszłości są w naszych czasach pomieszane. Sądzę, że na tle społecznego uspokojenia, do którego zdążamy, zbliża się czas końca wszelkich omanów, a z nim także

końca narkotyków. Dzisiejsza klęska narkomanii jest też ich ostatnim przedśmiertnym podrygiem na tle pomieszania przeszłości z przyszłością. Ponieważ lepiej jest, aby coś już zgangrenowanego i niezdolnego do życia odpadło prędzej, chcemy niniejszą pracą przyczynić się do przyspieszenia tego procesu. Co dawniej było na miejscu, było czymś twórczym, dziś może być balastem utrudniającym skonsolidowanie się przyszłego ustroju ludzkości. Do takich balastów należą bezwzględnie narkotyki, jakkolwiek rola niektórych (nikotyny i alkoholu) może wydawać się pewnym ludziom na razie społecznie dodatnią. Mimo przesady w rzekomym zdaniu Tołstoja twierdzą, że nikotyna może być doskonałym wstępem do alkoholizmu i wszelakiego omamienia: stwarza pewien typ mechanizmu psychicznego, który daje się zastosować do każdego innego nałogu. Człowiek palący znajduje się już na tej równi pochyłej, z której w dowolną przepaść stoczyć się można, a na dnie której może znaleźć się i zbrodnia, nawet jeśli ku niej żadnych specjalnych predyspozycji nie było. Mało jest notorycznych pijaków, którzy by wcale nie palili. Pod pojęciem prawdziwego pijaka rozumiem kogoś stale, codziennie używającego alkoholu do końca życia – chyba jeśli strach przed śmiercią zabronił mu już w ostatniej nieomal chwili przed wypełnieniem się jego życia używać zabójczego płynu i przedłużyć trochę w ten sposób zmarnowane w ogóle istnienie. Ludzie niepalący, a pijący, co – jak twierdzą – rzadko stosunkowo się zdarza, przestają zwykle pić w porę, przed czasem krytycznym, mniej więcej koło czterdziestki, i są w stanie dokończyć swych istnień we względnej jasności ducha. Przykładem klasycznym tego typu jest Boy, który przecie pisał kiedyś hymny pochwalne na cześć alkoholu, a teraz używa go czasem jedynie, w wypadkach prawdziwie wielkich uroczystości. Dlatego wydajność jego nie słabnie i ma on możliwość rozwoju wewnętrznego aż do końca dni swoich.

Jest w człowieku pewne nienasycenie istnieniem samym, nienasycenie pierwotne, związane z samym faktem koniecznym istnienia osobowości, które nazywam metafizycznym i które,

o ile nie jest zabite nasycaniem nadmiernym uczuć życiowych, pracą, wykonywaniem władzy, twórczością itp., może być złagodzone jedynie przy pomocy narkotyków. „Für elende Müsiggänger ist Opium geschaffen” – powiedział, zdaje się, ktoś. Pozorna sprzeczność tego twierdzenia z następnymi wywodami na temat „społeczności” nikotyny i alkoholu (o ile są używane w dawkach nieprzekraczających pewnych granic) w związku ze społeczną mechanizacją będzie wyjaśniona w dalszym ciągu. W ogóle dzielę narkotyki na pozornie społeczne i wyraźnie aspołeczne, ale – o tym później. Otóż nienasycenie to, o którym była mowa wyżej, a które polega na ograniczoności każdego indywiduum w Czasie i Przestrzeni i na przeciwstawieniu się jego nieskończonej całości Istnienia, nazwałem kiedyś uczuciem metafizycznym. Występuje ono w najrozmaitszych związkach z innymi stanami i uczuciami, tworząc różne z nimi amalgramy, a opiera się o bezpośrednio daną jedność naszego „ja”, naszej osobowości. Może ono być jako takie motorem różnych działań i może nadawać specjalne zabarwienie czynnościom niebędącym bezpośrednim jego przejawem. Jeśli dominuje w psychice danego osobnika, jest przyczyną twórczości religijnej, artystycznej lub filozoficznej. Jeśli jest tylko podrzędną składową całości danej psychiki, może być powodem umetafizycznienia dowolnych sfer działalności odpowiedniego osobnika lub nadawać tylko specyficzny charakter jego przeżyciom wewnętrznym. Nie będę tu przedstawiał w skrócie moich poglądów filozoficznych i estetycznych. Ostatnie znalazły wyraz w książkach już wydanych: *Nowe formy w malarstwie...*, *Szkice estetyczne* i *Teatr*. Co do filozofii, możliwym jest, że ogłoszę niedługo podstawową moją pracę na ten temat. Na razie wystarczą może powyższe wyjaśnienia. Otóż twierdzę, że wszystkie narkotyki, tak „społeczne”, w początkowych i w małych dawkach, jak i aspołeczne, nasycają do pewnego stopnia wynikające z samej istoty Bytu, to znaczy z ograniczenia indywiduum: nienasycenie i tęsknotę, aby w dalszym działaniu przytępić te stany i zabić je zupełnie. Podobnie działają: religia, sztuka i filozofia, które



początkowo wyrażają na różne sposoby metafizyczny niepokój, łagodząc zasłonami konstrukcji uporządkowania uczuć metafizycznych w kultach, konstrukcji form artystycznych w sztuce i systemów pojęciowych w filozofii – okropność samotności indywiduum w bezsensownym Bycie, następnie, w związku z uspokojeniem społecznym, degenerują się i zanikają w miarę zanikania samego niepokoju, do czego same się przyczyniły.

Jeszcze jedna kwestia: kiedyś Debora Vogel (dr phil. i poetka) zarzuciła mi pewną niekonsekwencję w teorii historycznego rozwoju form artystycznych w związku z moim twierdzeniem, że uczucie metafizyczne, zdefiniowane wyżej, przeszedłszy punkt maksymalnego napięcia swego wyrazu, zaczyna w miarę uspołeczniania się ludzkości maleć, dążąc w granicy do zera. Dowodziłem tego na fakcie upadku religii, kończenia się filozofii w impasie negatywnego określenia granic poznania i rozwyrzenia nieprzekraczalnego form artystycznych. „Jakże więc zanik wyrażanej treści, jednej i tej samej w całej sztuce, tj. poczucia jedności w wielości samej w sobie – spytała perfidnie Debora – pogodzić z rozwyrzeniem wyrazu?”. Może niedosłownie cytuję jej słowa, ale coś takiego „rzekła”. Na to „odparłem” surowo: „Zarzut niesłuszny. Dawniej ludzie byli duchowo zdrowsi, mniej przyspieszeni życiem. Siły duchowe indywidualne mniej więcej pozostają te same, a siła społeczna rośnie, wymagając coraz większego napięcia ze strony indywiduów, które nie mogą nadążyć stawianym wymaganiom standardu pracy i wysiłku. Społeczeństwo pod każdym względem przerastać zaczyna zdolności swoich elementów co do wypełniania funkcji, które na nie nakłada. W sferze sztuki dawniejsi twórcy długo żarli materiał, długo go trawili i długo dojrzewały owoce ich pracy. Artyści przeżywali siebie w tworzeniu form spokojnych i wielkich, a widzowie i słuchacze mogli doznawać mocnych artystycznych wrażeń od dzieł prostych i pozbawionych elementu perwersji, tj. tworzenia harmonijnych całości z części jako takich w swym działaniu nieprzyjemnych. Dziś, kiedy uczucia podstawowe dla sztuki, związane z poczuciem



jedności i jedyności «ja», zanikają, artysta, aby wydrzeć z siebie moment metafizycznego zachwyty, musi spiętrzyć daleko potężniejsze środki wyrazu. Widz czy słuchacz, mając mały zapas uczuć tych do przeżycia, może doznać wyładowania jedynie pod wpływem dzieł szarpiących mu z dostateczną siłą nerwy. Do tego dołącza się kwestia zblazowania i wyczerpania środków artystycznych w miarę rozwoju sztuki, która już teraz dokładnie się przed nami zarysowuje. Dawniej artysta wyprzedzał małą swoją epokę, różnił się od poprzedników swych minimalnymi, w porównaniu do dzisiejszych czasów, zmianami koncepcji ogólnej i związanymi z nią deformacjami rzeczywistości i uczuć. W miarę uspołeczniania się ludzkości, postępującej mechanizacji i przyspieszenia życia artysta właśnie, jako ten osobnik wyspecjalizowany w kierunku bezpośredniego wyrażenia metafizycznych uczuć, musiał pod względem form ich wyrazu oddalić się od społecznego podłoża, którego pod względem życiowym jest funkcją. Stąd pochodzi wzrastający rozdźwięk między *p r a w d z i w y m i* artystami a organizującym się w formy przyszłości społeczeństwem i ograniczenie istotnego zrozumienia ich dzieł do małych grup zanikających osobników danego typu. Sądzę, że jasnym jest, dlaczego zanik uczuć metafizycznych prowadzi do rozwydrzenia form artystycznych, które jest końcem sztuki w ogóle na naszej planecie”. Ale dość o tym – nie brnijmy w zapomniane i nikomu niepotrzebne już teorie artystyczne. Otóż narkotyki z początku zastępują pewnym nielicznym osobnikom sztukę, religię i filozofię (mówię oczywiście o zdeklarowanych nałogowcach jadów wyższego rzędu), a następnie wyjaławiają ich pod tym względem – spętowanego przeżywania ich osobowości – zupełnie, niszczą ich kompletnie pod każdym względem, odgraniczając od społeczeństwa, zamykając w ich własnym niedostępnym świecie obłądnych przeżyć i deformując poczucie ich rzeczywistości do granic, poza którymi wszelkie porozumienie ich z normalnymi ludźmi staje się niemożliwe. Inaczej rzecz się ma z alkoholem w małych dawkach i nikotyną. Jady te przytępią



zdegenerowanego współczesnego człowieka powoli, niszcząc w nim również osobowość, ale nie rujnując w ten sposób, aby niezdolnym był do spełniania mechanicznych funkcji w dzisiejszym społeczeństwie. Europa na tle jej starej kultury i zdegenerowanej ludności może by nie zniosła zaprowadzonej od razu prohibicji alkoholowo-tytoniowej na tle niewspółmierności życia z dogasającymi uczuciami metafizycznymi, które jednak przeszkadzają, jak mały kamyk zabłąkany w tryby precyzyjnej maszyny. Ale małe początkowe dawki tytoniu i alkoholu, uspakajające w pierwszych fazach nałogu rozszarpane nerwy Europejczyków, muszą wzrastać, a przy tym wzrasta ciągle zupełnie niepotrzebnie ilość konsumentów w następnych pokoleniach, które przy odpowiedniej tresurze mogłyby się zupełnie inaczej uspokoić. Starsi zatruwają się coraz bardziej, czyniąc się przedwcześnie niezdolnymi do pracy, a młodzi za ich przykładem coraz wcześniej zaczynają pić i palić, przez co ztraca się nawet uspokajające znaczenie tytoniu i alkoholu, a czas kryzysu, to jest czas, w którym trucizny te zaczynają działać aspołecznie, przesuwa się w kierunku początku życia – następuje systematyczne skrócenie okresu wydajności ludzkiej i przedwczesne zużycie najzdolniejszych jednostek, jako obdarzonych subtelniejszymi systemami nerwowymi. Skutki ujemne niedługo przeważać będą nad dodatnimi, a wtedy będzie już pod pewnymi względami za późno – im dalej w przyszłość, tym gwałtowniejszy będzie szok reakcji w razie gwałtowej prohibicji, która okaże się czy prędzej, czy później konieczną. Wydaje mi się, że ludzie kierujący, zaślepieni w jednym kierunku: ekonomicznym, nie zdają sobie sprawy z wagi zagadnień psychicznych dotyczących poszczególnych osobników, których scałkowanie daje wysokie współczynniki w ogólnej sumie społecznej. Społeczeństwo kokainistów byłoby czymś wręcz potwornym – o tym wie każdy. Ale nie każdy jest w stanie pojąć, że w stosunku do tego, jakim byłoby społeczeństwo abstynentów narkotycznych, naród palaczy i umiarkowanych alkoholików jest proporcjonalnie również czymś strasznym. A w takich narodach obecnie żyjemy, jeste-



śmy ich elementami, nie wiedząc, w jak okropnej atmosferze przebywamy i jacy sami jesteśmy.

Na gwałtowne zaprowadzenie abstynencji mogą sobie pozwolić kraje względnie młode, których obywatele nie mają za sobą starej kultury i nerwów tak starganych jak ludzie powojennej Europy. Trzeba też brać pod uwagę stopień alkoholizacji i nikotynizacji danego kraju. U nas zdaje się on wzrastać z każdą chwilą i dlatego sytuacja nasza jest groźna. Twierdzę, że ogólna walka z tytoniem i alkoholem powinna przejść krótki (np. dziesięcioletni) okres systematycznych ograniczeń, po czym we wszystkich krajach Europy, bez względu na związane z tym kwestie ekonomiczne, powinna nastąpić absolutna prohibicja tych dwóch straszliwych „assommoirów”, a zawiązania i straty stąd wynikłe zrekompensują się w bardzo krótkim czasie w związku ze zdrowiem psychicznym i wydajnością pracy obywateli. W stosunku do beznadziejnych nałogowców, to jest takich, którym w razie zaprzestania grozi śmierć, można by zastosować system rejestracji i wydzielanych porcji, który podcina od razu kontrabandę. Systemem tym wytepidli podobno Amerykanie kokainizm w pewnych stanach, a Japończycy opiumizm na Formozie. A zresztą nie moją jest rzeczą obmyślanie środków technicznych wykonania tego planu – ja ograniczam się do psychologii.

A więc nikotyna i jej ścisły pomocnik: czad węglowy (CO). Któż z palących nie zna cudownych i przykrych skutków pierwszych papierosów. Początek palenia przypada zwykle na okres „pierwszych miłości”, tzw. „weltszmerców”, czyli po prostu mniej lub więcej uświadomionych przeżyć metafizycznych, w ogóle w czasie pierwszej konsolidacji indywidualności w stanie embrionalnym, w której to epoce ludzkiego życia formują się charaktery na cały jego ciąg dalszy. Zasadniczym działaniem papierosów w tej epoce jest przytłumienie bezprzedmiotowej rozpaczy, a nawet złagodzenie różnych obiektywnych przykrości życiowych. Poza nieprzyjemnościami w rodzaju bólu głowy, mdłości (a nawet torsji) i niesmaku stan psychiczny



ulega przesunięciu od złości w kierunku niepozbowionej uroku, a nawet przyjemnej melancholii, przy czym występuje pewne intelektualne podniecenie i pozorna jasność myśli, połączona z łatwością pracy. I to jest prawie wszystko, czego można od papierosów oczekiwać. Działanie tego rodzaju trwa bardzo krótko – u niektórych parę miesięcy zaledwie – po czym zaczynają występować skutki ujemne, które przemaga się przy pomocy wzmożonych dawek jadu. Gdyby ci, którzy zamiast starać się wysiłkiem woli zmienić swój nastrój wewnętrzny i złagodzić okropność świata przez opanowanie rzeczywistości kawałek za kawałkiem, wiedzieli, co tracą na dalszych dystansach przez wymignięcie się z problemu przy pomocy użycia tytoniu, przeraziłoby się i rzucili natychmiast nałóg w stanie jeszcze załazkowym. Ocenić potworne zmiany zachodzące nieznacznie w strukturze psychicznej pod wpływem palenia mogą tylko ci, którzy nigdy nie palili w sposób ciągły i często przerywali to psychofizyczne świństwo, walcząc przynajmniej w ten sposób przeciw systematycznemu, zbyt prędkiemu podnoszeniu codziennej dawki ogłupiającego dymu. Jednak już w pierwszych stadiach palenia występuje zjawisko pewnej samoobrony organizmu, jako symptom poczucia upadku po każdym tytoniowym nadużyciu. Początkujący palacz zawsze ma wrażenie, że pali wyjątkowo, w związku ze specjalnymi okolicznościami, dla pewnych chwilowych celów, ale broń Boże, nie ma zamiaru stosować tego niecnego procederu na stałe. Zanim tytoń stanie się nieznacznie potrzebą każdej chwili dnia, używany bywa tylko w związku ze zdarzeniami wybijającymi się ponad codzienną szarą rzeczywistość: jakiś wieczór towarzyski, wyjątkowa umysł dyskusja, sytuacja, której spotęgowanie uroku wydaje się w danej chwili ważniejsze od zdrowia na całe życie, konieczność terminowego wykonania jakiejś pracy – wszystko to są rzeczy, dla których warto pozornie poświęcić dobre samopoczucie nazajutrz, brak fizycznego i duchowego wstrętu do siebie i niesmaku, a głównie sprawność władz umysłowych. Ale nade wszystko nie zdaje sobie sprawy taki lekkomyślnik,

że każde poddanie się zabójczej dialektyce narkotyku zacieśnia mu pętlę na szyi, utrudniając wybrnięcie z matni, w którą często przez snobizm, tanie szukanie nowych wrażeń i całkiem prostą głupotę nierozważnie popadł.

Piszę obecnie na P po kilkudniowym NP i dlatego tak jasno widzę całą ohydę tego zjawiska: pozytywnie nie daje mi to absolutnie nic, jak i większości palaczy, poza czysto zewnętrzną przyjemnością: zaspokojenia mizernych apetycyków smakowo-węchowo-dotykowych. Wartość obiektywna dokonanej pod wpływem palenia pracy, poza żłudną szybkością wykonania, będzie bezwzględnie niższa, jeżeli się weźmie pod uwagę wysiłek, który trzeba w nią włożyć w celu definitywnego wykończenia. Bo nigdy praca palacza nie jest doskonałą od razu: musi on potem długo i mozolnie „pipczyć” i poprawiać swoje dzieła, zamiast żeby od razu wyrzucić je z siebie w idealnej postaci, odpowiadającej pierwotnemu pomysłowi. I to stosuje się nie tylko do wytworów umysłowych, ale do wszelkiej wytwórczości w ogóle. Tylko w pewnych dziedzinach trudniej to sprawdzić: jest się miernym szewcem czy krawcem i koniec. Nie wie się, że to nadużycie tytoniu zatrzymało rozwój wewnętrzny i uniemożliwiło postęp techniczny. Miałem sposobność zaobserwować to dobrze na malarstwie, które łączy problem jasności umysłowej z problemem sprawności technicznej. Na większych okresach teza moja bezwzględnie jest sprawdzalna. Tylko nie każdy ma w kierunku tym doświadczenie i dostateczną zdolność introspekcji (samoobserwacji), a nade wszystko dobrej woli. I tak jakoś to będzie – mówi się i brnie się niepostrzeżenie w otchłań postępowego upadku.

Ale z początku nie jest tak źle, dopóki nieosiągnięty został punkt, w którym szkodliwość powiększenia dawki zaczyna rosnąć w postępie geometrycznym. Coraz większa ilość narkotyku przestaje wkrótce działać jako „doping” – zaczyna się prawdziwa tragedia: już nic z siebie więcej nie można wydobyć, choćby się wypaliło sto pięćdziesiąt papierosów na dzień. Może ktoś w ogóle nie umie z siebie nic wydobyć – to inna kwestia.